



Danienka z okienka

PARADA

Wiatron



ROK III

NIEDZIELA, 25 LUTEGO 1945 R.
SUNDAY, FEBRUARY 25, 1945

Nr 5 (49)

CENA EGZ.: w Egipcie P.T. 2, w Palestynie 25 mils., w Iraku 30 fils., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włoszech 12 lirów

OFENSYWA NA ZACHODZIE

Oddział narciarzy 9 Armii amerykańskiej mija pas „zimnych zębów” Linii Zygfrida. Oto Jeep w stroju zimowym — ideal w swoim rodzaju



W okolicy Rzeszy. Miocznymi ognia odbywa się „wykorczanie” Niemców z ich własnych domów



Na nartach za samochodem — kiedyś był to sport — dziś system patrolowania na froncie zachodnim



W ciemnej nocy — mowa ciężkich dział jest szczególnie efektywna



Cołg-dozer (odmiana buldozera) przekopuje drogę wśród zasp w okolicach Medell



„Rasa panów” idzie w kierunku druty



Mustang P-51 potrzebuje rozgrzewki



DWUTYGODNIK ILUSTROWANY
ARMII POLSKIEJ NA WSCHODZIE
ROK III

PARADA

FORTNIGHTLY REVIEW OF
THE POLISH ARMY IN THE EAST

NIEDZIELA, 25 LUTEGO 1945

№ 5 (49)

BYLIŚCIE ZBROJNYM RAMIENIEM POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO...

DZIAŁALNOŚĆ ARMII KRAJOWEJ

W dniu 8 lutego 1945 roku, Pan Prezydent Rzeczypospolitej dziękując Polskiej Armii Krajowej za czyny, poświęcenie i bohaterstwo, rozkazem przesłanym jej komendantowi rozwiązał zbrojne oddziały podziemnego wojska.

Armia Krajowa, która walcząc stale przez pięć i pół lat, liczyła ponad 200.000 żołnierzy, była regularnym wojskiem, zdyscyplinowanym, wyćwiczonym i uzbrojonym. Sprzymierzeni nadali jej statut armii kombatanckiej.

Walka z Niemcami w Polsce nie ustała ani na chwilę. Już w październiku 1939 r. uzbrojone oddziały polskie podjęły walkę z Niemcami, staczając szereg bitew i potyczek. Armia Krajowa, która na jesieni 1939 roku występowała jako Związek Walki Czynnej, była organizacją ściśle wojskową. W dniu 17 maja 1940 r. mianowany został jej dowódca, który utrzymywał odtąd stały kontakt ze sztabem Naczelnego Wodza, a dn. 1 września 1942 — w trzecią rocznicę wybuchu wojny polsko-niemieckiej specjalnym dekretem ogłoszono scalenie wszystkich wojskowych oddziałów bez względu na zabarwienie polityczne w jedną podziemną Polską Armię Krajową.

Sily zbrojne armii podzielone zostały na trzy części o różnym charakterze: 1) oddziały frontowe, 2) oddziały dywersyjne, przeznaczone do wykonywania aktów sabotaży oraz 3) oddziały rezerwowe dla uzupełnień stanów. W lipcu ubiegłego roku przed wybuchem powstania Warszawy, Armia Krajowa wynosiła ponad ćwierć miliona żołnierzy. Była to największa armia spośród wszystkich armii podziemnych, walczących w państwach okupowanych przez Hitlera. Liczebność jej zasługuje na tym większe podkreślenie, że kraj wyniszczony był walkami wrześniowymi, wyludniony wywózkami na roboty do Niemiec, łapankami ulicznymi, masowymi aresztowaniami do więzień i obozów koncentracyjnych niemieckich, wysyłkami na Syberię, internowaniem części wojska polskiego przez władze sowieckie i wreszcie przejściem niektórych oddziałów zagranicę.

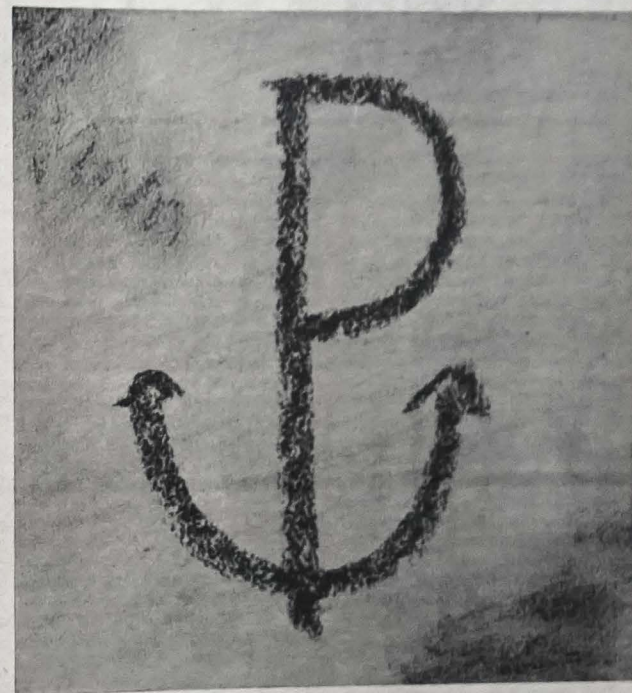
Obozy wojskowe armii, które nie mogły być licznie zgrupowane w jednym miejscu w obawie wykrycia przez nieprzyjaciela, znajdowały się głównie w lasach. Czasami całe wiosie, na pozór ciche i spokojne, były jednym obozem, zrywaniem do broni dla wykonania zadania na znak dawany poszczególnie każde-

mu z ukrywających się żołnierzy, choć ze względów bezpieczeństwa, dowódcy nie mogli posiadać dokładnych imiennych spisów swoich ludzi.

Wiek żołnierzy był różny. W szeregach walczących znajdowali się zarówno mężczyźni powyżej lat czterdziestu, jak młodzież szkolna, chłopcy kilkunastoletni. Oddziały te składały się z ludzi wszelkich warstw i klas społecznych. Znajdowali się tu również i cudzoziemcy: Anglicy i Nowozelandczycy, zbiegli z niewoli niemieckiej. W oddziałach walczących w okolicach Nowogródka w 77 pułku i w pułku imienia Bolesława Chrobrego była duża ilość Francuzów, rekrutujących się z robotników, przymusowo wywiezionych do Niemiec. Do oddziałów Armii Krajowej należały również kobiety, pełniąc służbę kurierek, radiotelegrafistek, bądź walcząc z bronią w rękę, jak np. żona porucznika Nowaka, odznaczona orderem Virtuti Militari za udział w walkach o Warszawę, lub Barbara Klonówna — oficer łącznikowy u majora Hubala-Dobrzańskiego, dowódcy jednego z oddziałów, która zginęła na polu chwały w kwietniu 1940 r. w bitwie pod Szalasami. Służba sanitarna i pomoc lekarska spoczywała niemal całkowicie w rękach kobiet, pełniących obowiązki siostr miłosierdzia zarówno w obozach lub zakonspirowanych mieszkaniach, jak i towarzysząc żołnierzowi w boju.

Pomimo ogrzania wsi z żywności przez Niemców, żołnierze Armii Krajowej nigdy nie cierpieli głodu, choć dostawy z zagranicy przychodziły skąpo i nieregularnie. Cały bowiem naród, którego uczucie i myśli armia podziemna była wyrazicielem, zaopatrywał swe wojsko w żywność.

Szeregi żołnierzy podziemnych były zbyt liczne, a zasoby zbyt szczupłe, by armia mogła być jednolicie umundurowana. Oprócz anolnic battle-dresów, beretów, gielskich hełmów, były furazerek i stalowych polskie sprządy i dawne mundury polskie sprzed wojny i rogatywki, płaszcze i kurtki francuskie uciekinierów z niemieckiej niewoli, mundury niemieckie Polaków, jacy zbiegli z armii Hitlera, Polaków, jacy zostali uprzednio przydo której zostali uprzednio przydo musowo wcieleni, bądź wreszcie ubrania cywilne, swetry, marynarki i kożuchy. Każdy jednak nosił w akcji na czapce orzełka, a na ramieniu opaskę, dla stwierdzenia, że walczący jest żołnierzem regularnej armii, nie zaś partyzantem.



Znak Polskiej Armii Krajowej na murach Warszawy

Niezależnie od szeregu pism i tajnych gazet Armia Krajowa posiadała swoją własną prasę jak „Biuletyn Informacyjny”, który ukazywał się w nakładzie 50.000 egzemplarzy i zawierał ściśle wskazówki co

do przechowywania broni w ukryciu przy jednoczesnej możliwości natychmiastowego jej użycia, konspiracji osobistej itp. Podziemna Armia Krajowa walcząc po drugiej stronie linii nie-

NASZA OKŁADKA



Polski żołnierz na drodze przyfrontowej w Apeninach

Fot.: K. Hryniewicz

W numerze:

PO ROKU WALK 2 KORPUSU NA
ZIEMI WŁOSKIEJ

HISTORIA ARMII KRAJOWEJ —
Tadeusz Wittlin

POLACY STUDIują W BEJRUCIE —
Tadeusz Pniewski

LIST Z ALGERU — Roman Fajans



Pan Prezydent Rzeczypospolitej wręcza sztandar Jednemu z pułków polskich w Szkocji

mieckich stanowiła drugi front, na długo, zanim termin ten został oficjalnie ukuty. W okresie bowiem, gdy Związek Sowiecki nie należał jeszcze do Sprzymierzonych, oddziały podziemne napadały na przejeżdżające przez Polskę transporty, wiozące zboże z Ukrainy do Niemiec, lub podpały cysterny z naftą, idącą z Kaukazu na potrzeby armii niemieckiej. Ponadto niepokojąc stale wroga, Armia Krajowa wiązała w Polsce znacznie większe siły niemieckie, niż te, jakie wystarczyłyby dla utrzymania porządku w okupowanym, a nie walczącym państwie. Poza zwykłymi garnizonami Niemcy musieli dodatkowo trzymać w Polsce 40 tysięcy żołnierzy oddziałów SS, 100 tysięcy policji, 24 tysiące straży kolejowej i 20 tysięcy tzw. „Selbstschutz”. Działalnością swoją Armia Krajowa wiązała tym samym 48 dywizji niemieckich, które w przeciwnym przypadku mogły być użyte na froncie.

Niszcząc stacje, tory kolejowe, bądź inne środki i drogi komunikacyjne, przecinając druty telegraficzne, wysadzając w powietrze składy, demolując urządzenia fabryczne, sabotując pracę i dezorganizując transporty — oddziały dywersyjne wyręczały tym samym lotnictwo Sprzymierzonych, które z dalekich swych baz nie wszędzie wówczas mogło dotrzeć, by zbombardować ważne obiekty nieprzyjaciela. Członkowie tych samych oddziałów byli również wykonawcami wyroków, zapadłych na posiedzeniach tajnego trybunału, a wydawanych na zdradców i katów narodu polskiego. Z ręki żołnierzy Armii Krajowej zginął kapitan Gestapo, Lechner, SS Gruppenführer, Wilhelm Krueger, zabity w Krakowie w dniu 2 maja 1942 r. — prawa ręka gubernatora Franka, oraz szef Gestapo na okręg warszawski Kutschera, sprzątnięty dn. 1 lutego ubiegłego roku.

Palenie spisów kontygentowych, wysadzanie w powietrze mostów, niszczenie sprzętu nieprzyjaciela, napady na koszarzy policji niemieckiej, odbijanie polskich więźniów politycznych z aresztów, więzień i

transportów oraz ataki na pociągi wiozące wojska niemieckie, amunicję i zaopatrzenie na front wschodni, były tylko częścią zadań Armii Krajowej. Dowodem jak wielkie rozmiary przybrała ta „wojna kolejowa” jest pisemne ostrzeżenie wydane w czerwcu 1944 r. przez niemieckie władze kolejowe dla „niemieckich kolei na Wschodzie”, wymieniające w Polsce „osiem niebezpiecznych węzłów i czternaście niebezpiecznych okręgów” oraz wydany w dniu 30 czerwca tegoż roku zakaz zbliżania się do torów na odległość 500 metrów, pod groźbą zastrzelenia na miejscu.

Czego dokonała Armia Krajowa w ciągu zaledwie jednego roku przedstawia bilans jej działalności za rok 1943, stwierdzony i podany do wiadomości prasy przez ministra Spraw Wewnętrznych Banaszka na konferencji w dniu 2 marca ubiegłego roku. Oto poniżej kilka cyfr:

Pościzek i bitew z oddziałami Gestapo, Wehrmacht, Bahnschutz i Grenzschutz	81
Napady na więzienia i konwoje z więźniami politycznymi, przy czym uwolniono 652 osoby, należąca do czynnego ruchu podziemnego	19
Niemców zabitych w walkach	740
Wykonane wyroki śmierci na agentach Gestapo	1163
Wykonane wyroki śmierci na wyższych urzędnikach niemieckich	18
Wykolejono pociągów	81
Ataków na transporty z materiałem wojennym było	474
Wysadzono w powietrze pociągów z amunicją	3
Wysadzono w powietrze mostów	6
Wysadzono w powietrze stacji kolejowych	9
Spalono pociąg z naftą	1
Zabito, bądź zraniono Niemców w powyższych akcjach	393
Zniszczono parowozów	2013
Zniszczono ciężarówek	9980
Zniszczono cystern	212
Zniszczono galonów nafty	562000

A oto zestawienie akcji Armii w czerwcu ubiegłego roku:

Opóźniono pociągów na czas od 3 do 19 godzin każdy	42
Wykolejono pociągów	54
Zniszczono parowozów	177
Zniszczono wagonów	956
Zniszczono kolejowych transportów materiału wybuchowego	48
Przerwano linie telegraficzne na przeciąg czasu od 35 do 70 godzin każda	38
Zabito Niemców Gestapo	379
Akcji zbrojnych (policji, napadów na więzienia i konwoje z jeńcami)	71

Ale nie tylko cyfry są obrazem działalności oddziałów podziemnych. Spis wszystkich bitew, jakie stoczyła Armia Krajowa z wojskami Hitlera, znacznie przekracza ramy artykułu. Ograniczyć się tu zatem można jedynie do podania kilku ataków, bądź bitew najbardziej charakterystycznych, jak np.: napady na szpital 11 i 29 czerwca 1944 r. na szpital św. Jana w Warszawie, gdzie było więzieniem polityczne i odbicie około 70 więźniów. O rozmiarach staczanych walk świadczy fakt, że w dniu 2 kwietnia ub. roku, oddziały Armii Krajowej stoczyły w rejonie Skarżysko-Kamienna walkę, do której Niemcy wystąpili w sile 4.000 żołnierzy, jednej brygady SS oraz używali artylerii i lotnictwa. W czerwcu tegoż roku pod Białogorą do akcji przeciwko Armii Krajowej Niemcy wprowadzili dwie dywizje, z których jedna była pancerna, ponadto jeden pułk artylerii, dwie eskadry bombowców oraz pułk kozaków. Armia podziemna dysponowała w tej bitwie lekkimi czołgami, dwoma samolotami, artylerią przeciwczołgową i zenitową. Bitwa trwała dwa tygodnie.

W dniach od 7 do 13 lipca ub. roku dowódca Armii Krajowej na Kresach Wschodnich wszedł w kontakt z gen. Czerniakowskim, dowódcą armii czerwonej na tym odcinku frontu wschodniego. W związku z tym porozumieniem oddziały podziemne zaatakowały w dniu 7 lipca wojska niemieckie w Wilnie oraz w Nowogrodku i pod Lidą. W walkach tych odznaczyli się głównie 1., 3., 4. i 26. brygada Armii Krajowej oraz 77 i 80 pułk pie-

...ataków... przeciw Niemcom, wystawiając do walki 27 dywizję piechoty oraz 34 miejscowościach, w niektórych Niemców, oddziały nasze ustanawiały własne władze, aż do nadejścia armii czerwonej. Wiadomo, jaki los spotkał oficerów i szeregowych tych oddziałów, które walczyły w porozumieniu z najwyższym dowództwem sowieckim. We wrześniu 1944 r., w parlamencie brytyjskim minister Eden był interpelowany przez Sir M. Knoxa, McGovern i Earl Wintertona w sprawie masowych aresztowań, wieszania, rozstrzelania i deportacji na Sybir tych żołnierzy,

W bitwach z Niemcami oddziały polskie brały również i jeńców. Oczywiście pilnowanie ich przed ucieczką lub odbiciem, żywienie ich i transportowanie przy częstych zmianach własnego m. p. było szczególnie trudne. Jeńców tych trzymano jako zakładników na wypadek konieczności odwetu w odpowiedzi na złe obchodzenie się wroga z jeńcami polskimi.

Jednakże nie tylko w Kraju walczone przeciw Niemcom. Przedsiębrane były również wypadki zagranicę do Prus Wschodnich, Stowacji, a nawet w dniu 11 marca 1944 roku do Berlina, w odwet za znęcanie się nad robotnikami polskimi, zatrudnionymi przymusowo w stolicy Niemiec.

I wreszcie bitwa o Warszawę, gdzie oddziały krajowe walczyły z nawałą niemiecką dwa razy dłużej niż armia w 1939 roku. Mimo woli narzucają się liczne analogie pomiędzy walkami w tragicznym Wrześniu, a powstaniem Warszawą. W obu tych bojach oddziały polskie walczyły w pionącym mieście przeciwko przeważającym liczbą i uzbrojeniem pułkom niemieckim, a generał Bór, podobnie jak Prezydent Starzyński, naprzód wzywał przez radio skuteczną pomocy. Armia Krajowa walczyła samotnie, gdy stojący na odległość ludzkiego głosu Rosjanie, milczeli.

Naczelnym dowódcą zachodniego frontu generał Eisenhower przed wstąpieniem na kontynent wydał do wszystkich armii podziemnych odezwę, w której oświadczył, że nadchodzi godzina wyzwolenia i dzień, w którym wszelkie podziemne organizacje wezwie do współdziałania. Wraz z wojskami anglo-amerykańskimi walczą pancerne oddziały polskie, które uwalniają Francję, Belgię i Holandię. Niestety, inwazja na froncie zachodnim posuwa się zbyt powoli, by 1 i 2 Korpus, idące poprzez Włochy, Francję, Belgię i Holandię mogły zdążyć z pomocą Armii Krajowej.

Rozwiązując Armię Krajową, Prezydent w imieniu Rzeczypospolitej złożył podziękowanie wszystkim żołnierzom za ich ofiarność i męstwo w następujących słowach: „Żołnierze Armii Krajowej! Spełniście chwalebnie wasz obowiązek wyrażający niezłomną wolę Narodu, prowadząc nieprzerwaną walkę z najeźdźcą niemieckim. Byliście zbrojnym ramieniem Polskiego Państwa Podziemnego i krajowych władz Rzeczypospolitej Polskiej... W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej składam podziękowanie wszystkim żołnierzom Armii Krajowej za ich bezgraniczne ofiary i męstwo”.

Polska niepodległa — oto idea, której służyła Armia Krajowa i której pozostaną wierni wszyscy Polacy.

TADEUSZ WITTLIN

POLACY W ALGERZE

Korespondencja

własna

„Parady”

napisal

ROMAN FAJANS

Przełamała się tedy nawałnica inwazji generała Eisenhowera. Sąd rozpoczął się wtaściwy marsz na Europę. Był pierwszy etap pochodu, który doprowadził armie sojusznicze do wrót doliny Padu. Gdy odplynęły masy wojsk, rozpoczęła się etap polityczny Algieru. Tutaj rozdziała się i wykrywała w ogniu bitew i tygłu konwulsji politycznych — nowa Francja. W Pałacu Letnim obradowało Zgromadzenie Doradzcze Republiki, ustawodawcze ciało zastępcze, powołane do życia zamiast nie istniejącego parlamentu. W Villa des Orangers pracował generał Giraud. Algier stał się na okres paru miesięcy wielką stolicą, zjechał tu korpus dyplomatyczny, zjawili się liczni korespondenci prasy światowej.

Dziś wszystko to należy do przeszłości. Algier stał się z powrotem tym, czym był zawsze, dużym, prowincjonalnym miastem. Byłem tam już raz, przed kilkunastu laty. Teraz znowu, raz jeszcze, urzeczony zostałem jego pięknem. Nad wodami zatoki, amfiteatralnie, piętrami, wznosi się ku górze białe miasto. Na dole, spokojny dziś i cichy, port z zapleczem wielkiej dzielnicy mieszkalno-handlowej. Wyżej rozsiadła się Kasbah, dzielnica arabska, złożona z wąskich i tajemniczych uliczek, zabudowanych tubylczymi domami o zastąpionych drewnianymi żaluzjami okienkami i masywnych bramach, przy których niemal z reguły reka kołatką, lub klamką w kształcie zwiła Fathmy. Niezrównanie odmalował tę dzielnicę wielki reżyser francuski, DuVivier, w swym pięknym filmie „Pépé le Moko”. Jeszcze wyżej, wysoko nad portem, kwitną ogrody i biała się pałacyki dzielnicy willowej El Biar. Panorama niżej położonych dzielnic i zatoki jest wspaniała, urzekająca.

Algier jest miastem schodów. Trudno iść tu dokądkolwiek, nie pnąc się po setkach kamiennych, wyłożonych przez czas i zużycie, stopni kamiennych. Spotyka się je wszędzie, w najbardziej niespodziewanych miejscach. Zamykają dostęp do kuszącej Kasby, w której uliczkach niejedno życie ludzkie dobiegło kresu w tajemniczych okolicznościach, niejedno dramat znalazł krwawe rozwiązanie. Przecież jeszcze na długo przed obecną wojną specjalne obwieszczenia władz głosiły, że nie przyjmują się żadnej odpowiedzialności za tych śmiałków, którzy po zachodzie słońca zaawanturowaliby się w tę zakazaną dzielnicę...

Algier Duviviera i Jean Gabin'a, Algier przygód i szumnego życia portowego, Algier przewalających się dywizji amerykańskich i wielkiego świata politycznego należy dziś do przeszłości. Dziś miasto

Gmach rządu federalnego



Algier — fragment portu

jest ciche, smutne, zbiedniałe. Trudne jest tu życie i nie wesołe. W sklepach pustki. Nie wiadomo skąd i jakim zdarzeniem losu zapełniły się wystawy sklepowe torebkami damskimi, które stanowią jedyny chyba artykuł, który występuje tu w niezwykłej obfitości. Doza malarstwa trochę zabawek dziecięcych, dużo malarstwa saloonów wystawowych i jeszcze więcej dzienników i czasopism wioskach, z każdym dniem coraz więcej. O żywność trudno, odzież nabyć nie podobna. Restauracje i kawiarnie zamykają swe wrota o 8 wieczorem i po tej godzinie źle oświetlone miasto szybko zasnęło.

W cudnym Pałacu Letnim, położonym pośród rozległego parku, u szczytu otaczającego miasto gór, za amfiladą sal, wyłożonych najpiękniejszą mozaiką zdobniczą w delikatne maurytańskie desebionych w wyjątkowo ciekawych i oryginalnych, urzędzie minister do spraw francuskiej Afryki północnej. generał Catroux. Dostępu do jego biur strzegą dwaj Spahisi w białych turbanach i szkarłatnych, szerokoskrzydłych płaszczach.

Generał Catroux mówił mi o Armii Polskiej na Wschodzie, której powstawanie śledził w czasie swego paroletniego pobytu w Bejrucie. Opowiedział mi o swojej wizycie w Tobruku, gdy wraz z generałem de Gaulle odwiedził walczącą Brygadę Karpacką. Mówił także o spotkaniach z generałem Anderssem.

W Algierze istnieje kolonia polska, złożona prawie wyłącznie z kobiet, dzieci i młodzieży poci obojga. Są to przeważnie żony i dzieci oficerów i szeregowych innej armii, a przebywają tu od przeszło czterech lat.

Część ich, zaproszona przez rząd francuski, przed czerwcem 1940 r. przybyła tu z Rumunii. Przetrwiała czasy Vichy, obozy koncentracyjne oraz prześladowania niemieckich i włoskich komisji kontrolnych. Nowe władze francuskie wyzwoły polskie uchodźców i obecnie żyją oni na wolności, czekając na lepsze czasy. Ta niewielka kolonia polska, licząca niewiele ponad sto osób, osamotniona jest i odcięta od innych ośrodków polskiego wychodźstwa. Administracyjnie podlega ona nie Środkowemu Wschodowi, lecz Londynowi, do którego bardzo daleko i z którym komunikacja jest niezwykle trudna. To też rzadko dochodzą do tutejszych Polaków ogłoszenia z szerokiego świata. Nie znane są im polskie wydawnictwa ze Śr. Wschodu, zamknięte te wszystkie źródła moralnej pomocy, które tak wydanie wspierają tysiące innych Polaków, rozproszonych po różnych sferach szerokiego świata. Trudno oprzeć się wrażeniu, że ta garstka Polek i Polaków algerskich jest zapomniana i żyje na uboczu wielkich szlaków polskiej wędrówki.

Większość kobiet i dzieci mieszka w dwóch schroniskach. Jedno z nich zapewnia swym mieszkańcom warunki stosunkowo znośne i pewien, bardzo zresztą skromny komfort. Drugie, obszerniejsze i zamieszkałe przez większą ilość kobiet i dzieci, robi wrażenie smutne i przygnębiające. Zimne, gołe sale poprzemiennie rozwieszonymi na drutach przesieciadłymi i kocami, smutno tu. Jedzenie jest też całkiem nie wystarczające. W dniu mych odwiedzin jadłospis tak się przedstawiał: rano nie słodzona herbata i suchy chleb, w południe zupa z soczewicy i trochę

kaszy, wieczorem znowu herbata (namiaszka). Skromne dotacje pieniężne nie pozwalają na lepsze odżywianie. Pod względem materialnym uchodźcy nie są w Algierze, są dużo gorzej sytuowane, niż uchodźcy polscy w Anglii lub na Śr. Wschodzie. Dlaczego? Odpowiedzialność za to nie ciąży bynajmniej na opiekujących się uchodźcami w Algierze przedstawicielach władz polskich. Przeciwnie, konsul R.P. p. Putryński oraz delegat Ministerstwa P.i.O. S. Sokolnicki, jak i lekarz wojskowy por. dr Maczkiewicz dwoją się i troją, by poddać trudnościom, by rozwiązać tę kwadraturę kota, jaką stanowi problem wyżywienia naszych uchodźców przy cenach algerskiego rynku.

Bulwar La Ferriere



Bulwar La Ferriere

Studenci polscy na uniwersytetach Bejrutu

Emigracja polska tej wojny — jak żadna z naszych fal emigracyjnych — wyniosła z Kraju wielką masę dzieci i dorastającej młodzieży. Już w pierwszych dniach po Wrześniu obok obozów internowanych wyrosły szkoły, a później na dalekich drogach wojska polskiego, walczącego, rozbijanego i znów się tworzącego, powstawały również szkoły różnej wielkości i typu — w Rumuni i na Węgrzech, w Szwecji, we Francji i Anglii, w Algierze, Palestynie i Syrii, w Persji, Iraku i Egipcie, w Afryce Wschodniej i Południowej, wreszcie we Włoszech. Ten najbardziej uderzający, dwustronny charakter (armia i szkoła) emigracji przetrwał różne sytuacje wojenne, a szczególnie aktualny i ważny jest w końcowym okresie wojny, kiedy wojsko nadaje postawę emigracji, a ze szkołami wiąże się nadzieje narodu, który przez sześć lat żył musił bez własnego szkolnictwa. Związek armii polskiej ze szkołą znajduje swój specjalnie silny wyraz w szkolnictwie junackim, ale znaleźć go można także u podstawy niemal wszystkich innych ośrodków szkolnych. Również w Bejrucie, na studiach uniwersyteckich.

W dwóch wyższych uczelniach stolicy Libanu skupia się ponad 1000 młodzieży reprezentującej cały Środkowy Wschód. Akademicka kolonia polska — 140 osób, w tym 80 procent kobiet — zwartością, organizacją i zdobytym już znaczeniem sięga daleko ponad swą siłę liczebną.

Pierwsi studenci polscy pojawili się w Bejrucie w roku 1942 — studenci w mundurach żołnierskich. Obecnie grupa wojskowa, już zorganizowana, składa się z 26 odkomenderowanych na studia — medycyna, farmacja i szkoła inżynierii. W tej liczbie są cztery ochotniczki. Studenci i studenci cywilni rozdzielają się dość równomiernie na prawo i nauki polityczne, medycynę, farmację i teologię. 60 procent akademików polskich uczęszcza na francuski uniwersytet św. Józefa, reszta studiuje na uniwersytecie amerykańskim, ośmiu słuchaczy polskich zapisało się na szkołę sztuk pięknych i architektury. Studentów uczelni amerykańskiej obowiązuje język wykładowy angielski, są tu wydziały — prawa, nauk politycznych, filozofii, medycyny i farmacji. Na prowadzonym przez zakon jezuitów uniwersytecie św. Józefa, z językiem wykładowym francuskim, poza wydziałami, jakie są również na amerykańskiej uczelni, jest jeszcze wydział teologii. Ponadto przy wydziale medycznym jest szkoła dentystryczna, a osobno uniwersytet ten utrzymuje szkołę inżynierii, dającą dyplomy politechniki w Lyonie.

Studia medyczne w Bejrucie trwają siedem lat, farmaceutyczne pięć, prawnicze cztery, teologia sześć. Z wojskowej grupy studentów dziesięciu ukończyło już studia medyczne: wszyscy są dzisiaj lekarzami 2 Korpusu Polskiego we Włoszech. Grupa cywilna ma dotychczas kilku absolwentów.

Organizacyjnie od października 1944 r. wszyscy, zarówno wojskowi jak i cywilni, złączyli się w jednym stowarzyszeniu — Bratniej Pomocy Studentów Polaków w Bejrucie, będącej oddziałem Zrzeszenia Studentów Polaków w W. Brytanii. Statut oparty jest na Bratniakach w Polsce. Są więc wybory władz na walnym zebraniu, są i sekcje — gospodarcza, prowadząca jadalnię, sekcja samopomocowa, towarzyska i propagandowa.

W kreslarni szkoły architektury



Meczet Omara w Bejrucie



Studująca Polonia bejrucka ma duże znaczenie propagandowe zarówno na obu uczelniach, wśród Francuzów, Anglików i Amerykanów, jak i w społeczeństwie miejscowym. Kontaktami osobistymi, tak zawsze ważnymi, docierają nierzadziej i skuteczniej, niż potrafi to uczynić propaganda oficjalna, często nieufnie przyjmowana. Nasza kolonia akademicka ma licznych przyjaciół nie tylko w samym Bejrucie, ale również w szeregach wojsk sojuszników — za pośrednictwem żołnierzy, przejeżdżających przez Syrię i Liban. Wystąpienia studentów polskich ściągają widzów i słuchaczy także innych narodowości.

Inauguracja prac Bratniej Pomocy odbyła się uroczysto w początku października ub. roku z udziałem rektorów i wszystkich profesorów. 29 tegoż miesiąca z inicjatywy i przy współudziale

studentów polskich zorganizowany został Międzynarodowy Dzień Studenta, w miesiąc później Akademia Listopadowa. W święta Bożego Narodzenia Bratniak urządził dla kolonii polskiej wile i obiad. W najbliższym czasie również staraniem Bratniaka odbędą się: wieczór galowy z ziemnej, recital wokalny absolwenta Pieci i śpiewu, na uniwersytecie amerykańskim, powtórzony potem na uniwersytecie francuskim, w mieście i prawdopodobnie w Damaszku, wreszcie recital skrzypcowy Tadeusza Zaufala.

Sprawa mieszkaniowa studentów przedstawia się zadowalająco. Część studentek mieszka w Domu Studentek, prowadzonym przez Delegaturę Min. Opieki Społecznej, reszta w mieście, grupa wojskowa ulokowała się w dwóch domach.

Profesor Cottard, dyrektor kliniki chirurgicznej wśród studentów polskich



Uniwe sytet amerykański — rektor Dodge w otoczeniu Polaków



W pracowni biologicznej — studentki polskie przygotowują krótkie



Student polski bada matę pacjentkę w obecności prof. Calmette, dyrektora kliniki wewnętrznej

Garść tych szczegółów, udzielona nam przez prezesa Bratniej Pomocy, por. B., wymaga jeszcze komentarza, dyktowanego tragiczną sytuacją Kraju bez szkół, doświadczeniami z dotychczasowych prób tworzenia ośrodków szkolnych na obczyźnie, a wreszcie i ciężkim położeniem politycznym w obecnej fazie wojny.

W pierwszym okresie potrzeba wojenna wymagała od nas najwyższego wysiłku mobilizacyjnego, największej ilości żołnierza — zwłaszcza wobec stosunkowo niewielkiego poza Krajem źródła rezerw ludzkich. Później sytuacja ulegała pod tym względem stałej poprawie, a od dłuższego już czasu stać nas na bardziej rozległą i elastyczną hierarchię celów i potrzeb. Dzisiaj sprawy szkolne mogą zajmować w tej hierarchii miejsce bardzo czołowe, a wydarzenia polityczne

ostatniego okresu, jeszcze mocniej aktualizują i podkreślają znaczenie kształcenia i podkreślają znaczenie kształcenia tej masy młodzieży, znajdującej się na tej masy młodzieży, znajdującej się na emigracji. Ponadto używany często argument tymczasowości wojennej, a więc celowości prac szkolnych, zakrojonych na dłuższą metę, nie mógł się ostać wobec życia Kraju, ani emigracji, ani wobec zarysowującej się przyszłości wojennej.

Rozwijające się mimo wszystko dobrze ośrodki studiów polskich wymagają dzisiaj daleko silniejszego, niż dotychczas poparcia naszych władz, wymagają jeszcze większej ich rozbudowy — zarówno środkami jak i materiałem ludzkim. Zmiana gospodarki tym cennym materiałem powinna nastąpić przede wszystkim w odniesieniu do tych wszystkich, którzy błądzą jeszcze w szkołach, bądź z nich

wychodzą z dobrymi świadectwami. Selekcja tej młodzieży jest najłatwiejsza, a dotychczas — przynajmniej to szczerze — nie została przeprowadzona w sposób wystarczająco celowy. Dotyczy to przede wszystkim młodzieży naszych szkół junackich, a w szczególności młodzieży ochotniczek, które w hierarchii potrzeb bezpośrednio wojennych, zajmują miejsce dalsze niż chłopcy. Przedstawi to najwyraźniej kilka cyfr.

W sierpniu 1943 r. odbyła się w Szkole Młodych Ochotniczek pierwsza matura z wynikami nadszpejdowanymi dobrymi — 19 dziewcząt ukończyło szkołę średnią, żadna z nich jednak nie poszła na studia wyższe. W lutym roku 1944 zdała maturę dalsza setka, w roku bieżącym dochochodzą znowu nowe maturzystki. Od ubiegłego roku wypuszcza maturzystów również Szkoła Kadetów. Wpływ tych doskonałych, jak na warunki wojenne, wyników szkoły średniej na polskie życie uniwersyteckie jest niestety więcej, niż skromny — wyrażając się cyfrą zaledwie trzech ochotniczek — absolwentek Nazaretu, oraz jednego kadeta, który przybył do Bejrutu dopiero w jesieni ubiegłego roku.

Nie jest jeszcze za późno, by cyfry takie zmienić. By rozbudować stworzone już ośrodki wyższych studiów, by zasilić je zdolną młodzieżą, mającą za sobą szkoły nie tylko cywilne. Bejrut jest tylko jednym z takich ośrodków.

TADEUSZ PNIEWSKI



Świetlica Domu Studentek w Bejrucie

Cedry w górach Libanu



Studenci polscy z prof. Escharem, kuratorem Bratniej Pomocy





Ruiny zdobytego Piedimonte



Działo panc. z linii Gustawa zdobyte przez polskie oddziały

wały już znakomicie. Nie bacząc na trudności oddziały 2 Korpusu likwidowały stopniowo poszczególne umocnienia punkty oporu nieprzyjaciela, spychając jego oddziały na coraz niżej położone pasma wzgórz.

Szczególne silny opór napotkali Polacy na kompleksie wzgórz Monte Lechia w dniu 7 listopada 1944, gdzie kilkakrotnie dochodziło do walki wręcz. Dzięki jednak zastosowaniu zręcznego manewru, oddziały polskie rozbiły broniących się zaciekle Niemców i opanowały wzgórze. Zdobyto w tym samym czasie miejscowość DOVADOLA, a w parę dni później m. CASTROCARO, stanowiące ważny węzeł drogowy. Pobity nieprzyjaciel wycofał się na północ i zorganizował obronę na wzgórzach Castellacio i Monte Siva.

Godzi się podkreślić, że czołowe uderzenie na wspomniane wzgórze za względu na doskonałe warunki obronne nieprzyjaciela byłoby przedsięwzięciem zbyt ryzykownym, to też zastosowano manewr oskrzydający. Po zdobyciu wzgórz MON-

TE SIVA główny wysiłek Korpusu skierowany został wzdłuż grzbietu górskiego, ciągnącego się z południa na północ na wschodnim brzegu rzeki Samoggia. Napotykały tu oddziały polskie na bardzo silny opór nieprzyjaciela, który doceniając należycie ważność tego odcinka frontu, rzucił do akcji swe najlepsze oddziały w postaci wyborowej 26 dywizji grenadierów pancernych.

W ciężkich kilkudniowych walkach zdobyto kluczowe wzgórze MONTE FOR-TINO oraz MONTE PIANO, a w następnej fazie działań drugie kluczowe wzgórze przed zejściem na równinę MONTE RICCI i miejscowość SANTA LUCIA, osiągając w ten sposób linię rzeki Marzeno.

Skutkiem tego udanego manewru nieprzyjaciel, zagrożony odcięciem, pośpiesznie opuścił umocnione pozycje na Castellacio i wycofał się za rzekę Marzeno.

Duże usługi w tych działaniach oddało własne lotnictwo, wspierając skutecznie akcje wojsk naziemnych, bombardując punkty oporu nieprzyjaciela oraz stano-

wiska artylerii i moździerzy. W operacjach tych zadano Niemcom bardzo ciężkie straty, wzięto około 300 jeńców i zdobyto dużo różnego sprzętu i materiału wojennego. Wspomnianą bitwę zaliczyć należy do jednej z większych, jakie stoczył Polski Korpus we Włoszech. Niemcy bili się z niezwykłą zaciętością o każdy niemal pagórek i o każdy domek. Zmasowali przy tym bardzo dużą ilość artylerii najcięższej, w tym liczne działa samobieżne. W stosunku do odniesionego sukcesu straty własne były bardzo małe.

Dalsze zadanie Korpusu polegało na wyparciu oddziałów niemieckich z obszaru między rzekami Marzeno i Lamone. Rozbity w poprzednich ciężkich walkach nieprzyjaciel stawił stosunkowo słaby opór i oddziały 2 Korpusu osiągnęły na całej szerokości frontu linię rzeki LAMONE w dniu 27 listopada 1944 roku.

Po zwycięskich bitwach o wzgórze między rzekami Marzeno i Samoggia 2 Korpus Polski otrzymał zadanie zdobycia wzgórz na południowy zachód od Faenzy. Zadanie to wchodziło w skład planów 8 Armii w bitwie o Faenza. Wymagało ono przegrupowania oddziałów bojowych Korpusu, jego rzutów tyłowych i stanowisk artylerii, przebudowania sieci łączności i przerzucenia osi zaopatrzenia. Zadanie było tym trudniejsze, że rozporządzano tylko jedną górską drogą, która służyła również jako oś komunikacyjna dla walczących obok oddziałów polskich innych wojsk 8 Armii.

W pierwszym wielkim natarciu, które rozpoczęło się 3 grudnia o godzinie 23.30 po bardzo silnym przygotowaniu artyleryjskim, 2 Korpus po dwudniowych walkach wywalczył kolejno przyczółki na zachodnim brzegu rzeki LAMONE, a następnie opanował kompleks wzgórz, w których najważniejszy był szczyt MONTE RINALDO. Ponieważ jednocześnie na sąsiadujących z nami odcinkach stanowiska niemieckie były bardzo wysunięte do przodu, oddziały polskie musiały wielokrotnie odparać przeciwnatarcia niemieckie. Należy też zaznaczyć, że Niemcy przez długi czas mieli wgląd w stanowiska polskie.

W następnym natarciu, które odbyło się w dniach 14—17 grudnia Korpus miał za zadanie wypchnąć nieprzyjaciela z kompleksu wzgórz między rzekami Sinfra i Senio, podczas gdy inne oddziały 8 Armii nacierały bezpośrednio na Faenza.

Szybka akcja 2 Korpusu przyczyniła się wybitnie do powodzenia całości operacji. Omawiając ten okres walk 2 Korpusu podkreślić należy niesłychany wysiłek w walce z trudnościami terenowymi. Napotykało nie tylko na brak dróg oraz na brak pomieszczeń, utrudniających kwaterunek oddziałów, ale i na wielką, wskutek ciągłego padającego deszczu, ilość błota i wezbrane rzeki. Translokacja oddziałów, podciągnięcie na znaczne wysokości ciężkich dział, wymagało niezwykłej dyscypliny drogowej i zorganizowanej pracy wszystkich służb.

W rozmowie z korespondentami zagranicznymi gen. Wł. Anders zaznaczył kiedyś, że 2 Polski Korpus jest w 100 procentach samowystarczalny i tworzy jedną wielką rodzinę. „To jakby kawałek Polski!” — powiedział i począł wyliczać niezliczone komórki, pracujące na rzecz Korpusu, od piekarni, łaźni i pralni poczwazy, po przez różne składnice i war-

ształy, urządzenia kulturalno-oświatowe, kantyny, prasę, teatr, aż po oddziały operujące bardzo skomplikowanymi maszynami wszelakiego rodzaju, nie mówiąc już o najnowocześniejszym sprzęcie bojowym. Korpus wyposażony jest doskonale i wszystkie oddziały i komórki do najmniejszej, są zmotoryzowane, co daje możliwość szybkiego przesuwania się z miejsca na miejsce.

Żołnierze 2 Korpusu, to żołnierze gospodarni, zapobiegliwi, umiejący doskonale dostosować się do najtrudniejszych nawet warunków, czego dał dowody, przechodząc całe piekło udręceń w „łagrach” i „więzieniach” w ZSRR. I nic go złamać nie zdołało.

Wspaniałe jest morale tego żołnierza, który zyskał sobie pełne uznanie swych sojuszników towarzyszy broni. W najtrudniejszych momentach walki jest ożywiony duchem bojowym najwyższego gatunku. Podkreśla stale, że ponoszone przezeń ofiary są celowe, że składane są dla Polski. Słowa takie słyszało się i w ogniu bitwy, i w chwilach konania, gdy kapłani udzielali ostatniej pocięchy bohaterom. Nagrodą za czyn najwyższego męstwa i odwagi na polach bitewnych były krzyże i Virtuti Militari, przypięte ręką Naczelnego Wodza Gen. K. Sosnkowskiego do piersi wielu żołnierzy 2 Korpusu.

Najlepiej chyba ocenił wartość tego żołnierza dowódca wojsk Sprzymierzonych we Włoszech gen. Alexander, kiedy po bitwie pod Monte Cassino, dekorując gen. Andersa Orderem Łaźni, powiedział: „Żołnierze 2 Korpusu! Jeżeli mi dano do wyboru między jakimkolwiek żołnierzami, których bym chciał mieć pod swoim dowództwem — wybrałbym Was, Polaków. Oddajcie Wam część”.

Walki 2 Korpusu Polskiego we Włoszech złotymi zgłoskami zapisane zostaną w dziejach oręża polskiego i przypominać będą pokolemiom, że żołnierz nasz, na przekór zakusom obcej propagandy, piętrzącym się trudnościami i ciężkim chmurom, zbierającym się coraz gwałtowniej nad jego Ojczyznę — torował sobie uparcie krwawą szlak powrotu, świadom tego, że choć na obcej ziemi, walczy o Wolność, Całość i Suwerenność Polski.

Na odcinku w Apeninach



ARTYLERZYSTA — OBSERWATOR LOTNICZY



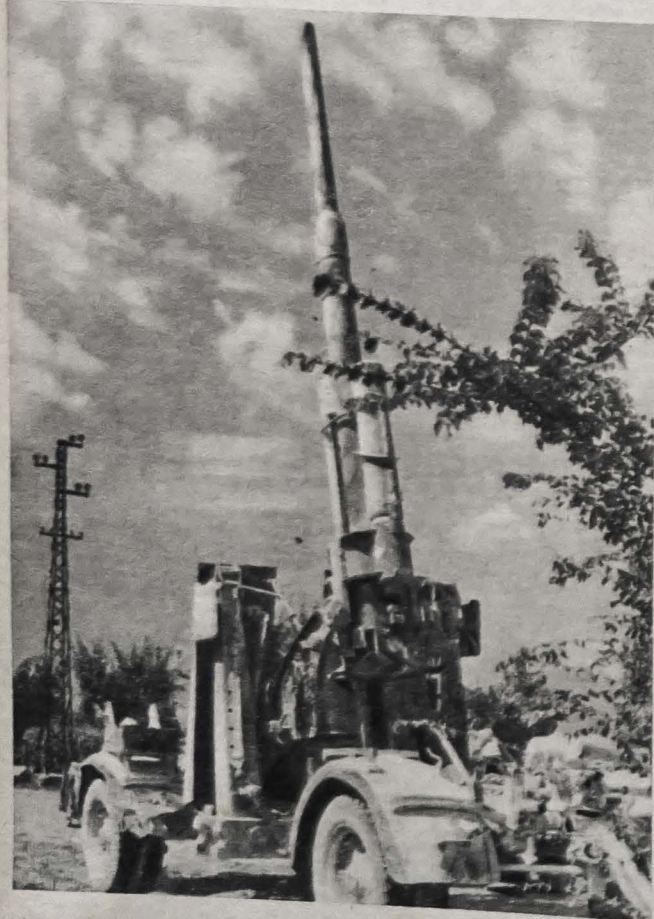
W pobliżu jednego z miast Afryki Południowej przebywała na studiach, w szkole lotniczej, grupa 22 polskich oficerów artylerii. Artylerzysta - obserwator musi bowiem w nowoczesnej wojnie być również lotnikiem, który stanowiska nieprzyjacielskie wypatruje nie tylko przez lornetę, lecz i z wysokości samolotu.

Polscy uczestnicy tych kursów, po ukończonych studiach złożyli egzaminy nadspodziewanie dobrze, pomimo wielu trudności. Z pośród całej tej ekipy za ledwie siedmiu słuchaczy włądano do szeregu przez instruktorów, siedmiu innych mogło się nieźle porozumieć, reszta zaś — nie znała ani słowa. W tych warunkach nauka, a później egzaminy, były niezwykle ciężkie. Teorii można jeszcze było wykucwać z angielskich podręczników postępując się polskim słownikiem i uzupełniając polskimi książkami technicznymi. Gorzej było natomiast z praktyką. Jak wyglądała taka praktyczna nauka jest nie tyle tajemnicą wojskową, co raczej jakąś wręcz fantastyczną historią. Szczególnie w czasie ćwiczeń lotów nocnych, gdy instruktor nie mógł porozumieć się z niektórymi ze swych uczniów, ani słowem, ani na migi. W tych warunkach rozkazy jego rozumiane łączyły, lub wręcz nie rozumiane, wykonywane często były na opak. Na szczęście obeszło się bez wypadków. Poradzono sobie w ten sposób, że poza instruktorami południowo-afrykańskimi z RAF-u przydzielonych zostało dwóch instruktorów polskich i dwóch jugosłowiańskich, którzy włądali językiem francuskim.

Ostatecznie Polacy zdali egzaminy celując i wywoząc z południowo-afrykańskiej szkoły pilotów najniższe wspomnienia oraz dyplom lotniczego obserwatora artylerzysty, powrócili do swych oddziałów na froncie.

Grupa polskich artyleryjskich obserwatorów lotniczych na kursie w Afryce Południowej

Ancona — niemieckie działo forteczne ciężkiego kalibru



Nabożeństwo na brzegu Jordanu

Po nabożeństwie w cerkwi im. Marii Magdaleny w Jerozolimie



Uroczystość Jordanu

W wojsku polskim we Włoszech i w oddziałach znajdujących się chwilowo w Palestynie i Egipcie, jest spora grupa żołnierzy wyznania prawosławnego. Pochodzą z polskich kresów wschodnich, z okolic Białegostoku, Polania, Wołynia. Odbył daleką drogę do Wojska Polskiego, by biec się pod własnymi, w całym tego słowa znaczeniu sztandarami o wolną, całą i niepodległą Polskę, o swej ziemi ojczyźnej. Żołnierze ci reprezentują zdrowy, mocny typ Polaka kresowego.

Dnia 18 stycznia 1945 roku w tradycyjnym dniu święta Jordana nabożeństwo, w kościele św. Marii Magdaleny, a następnie w Jeryho — święcenie wód Jordana. Na uroczystości te przybyli żołnierze z różnych stron. Wiele z nich, to weterani spod Cassino. Wyleczyli się z ran i chcą najszybciej wrócić do swoich jednostek.

Po nabożeństwie odprawionym przez szefa duszpasterstwa autokefalicznego polskiego kościoła prawosławnego ks. kanonika Wsiewołoda Jeskowa w a-syście o. Serafina, samochody zawiozły żołnierzy do Jeryho, gdzie odbyła się właściwa uroczystość święcenia Jordana. Patriotyczne kazanie o przywiązaniu do Małki-Polski wygłosił ks. kanonik Jeskow, po czym żołnierze odśpiewali „Boże coś Polskę”.



2000 km statkiem po Nilu

Wysłuchuję ostatnich instrukcji przed moją pierwszą podróżą, już „in charge” statku „Amka”.

— Pójdźcie pan do pasażerskiego mola na przedmieściu Mogren, przyjmie pasażerów według otrzymanej listy i po inspekcji szefa ruchu ma pan ostatni wolny wieczór na wizytę w Khartoumie. Jutro rano o piątej odjedź stosownie do czasu otwarcia mostu omdurmańskiego 5.30—6.30. Resztę pan wie...

— Right—o.

— Jolly good luck to you.

— Thanks.

Wyszedłem z biura i wróciłem na statek.

„Amka” śni w słońcu wypolerowanymi mosiężnymi okuciami i uśmiecha się białą wyszorowaną pokładów. Tu i ówdzie, w różnych miejscach na statku, na klekaczach kłamią się swemu Bogu moi czarni marynarze. Jak zwykle, zostawiają tutaj swoje rodziny, w Khartoum North, w schludnych, standardowych domkach of Sudan Railways, a czas podróży, trwającej przeszło miesiąc a często i więcej.

— „Lahad u nus, safiri!” — rzekłem do mego reisa***) i wszedłem do kabiny, aby rozzejrzeć się w logu przed odjazdem. Nad dokumentami okrętowymi zastaje mnie też pierwszy gwizdek „Amki”.

Wychodzą na pokład.

Marynarze zrzucają z boilerów ostatnie cumy.

Drugi gwizdek. Drzwonek w maszynowni. „Amka” drgnęła i wolno odchodzi od brzozy na „eastern”.

Jeszcze krótko spóźniony, z załogi „Amki”, brodzi szybko od brzozy, wreszcie płynie, po chwili chwytając się krawędzi najbliższego pokładu i gramoli się wśród śmiechu towarzyszy — wysłuchuje, wymając gamizę***), z uśmiechem reprimendy „basz bachari’ego”****).

Rozstukane hałasem warsztatów na brzozy Dockyardu Khartoum North ucieka w przestrzeń i przeszłość czasu.

Moja pierwsza podróż zaczyna się.

„Amka” idąca luzem, pruje lekko roziskrzona, ciemno-zielone tobie Niebieskiego Nilu. Przechodzimy według przeciwnego, bulwarowego, miejskiego brzozy i po kilkunastu minutach dobiegamy do mola Mogren. Nazajutrz, wedle instrukcji, wchodzimy w Biały Nil i mijamy most do Omdurmanu, rozpoczynając właściwą podróż.

Normalnie najruchliwszą pod względem ruchu pasażerskiego częścią Nilu jest odcinek Kosti—Juba. Ja jednak wystartowałem z Khartoum’u, gdyż była to pierwsza podróż „Amki” po generalnym remoncie. Z Khartoum’u do Kosti, dokąd pociąg przywozi pasażerów, udających się tranzytem przez Sudan, to 319 km linią rzeki. Podróż statkiem wśród pustynnych jej brzegów trwa około trzech dni. Ta część Nilu stosunkowo mniej ciekawa w porównaniu z Nilem Górnym, ma jednak też swe duże atrakcje. Jedną z nich jest olbrzymia tama-zapora w Jebel-Aulia z przepustem dla statków, długość jej wynosi około dwóch kilometrów, w czym jeden kilometr na samą rzekę.

Kilkanaście kilometrów przed Kosti, na prawym brzozy Nilu, jako inna atrakcja rozsiadło się maleńkie państwo syna słynnego Mahdiego, przywódcy ruchu „derwiszów”*****) — Abdullahi El Mahdiego. Majątek prywatny, bo tak trzeba to nazwać po europejsku, zajmuje tzw. Aha Island — olbrzymia, dobrze urządzona i zagospodarowana wyspa nilowa.

Abdullahi jest mądry i bardzo bogaty, doświadcza wszelkiej, jeśli chce, pomocy od Anglików, lubi przyjęcia i gości, których z Khartoum’u zwozi do swej pięknej rezydencji na wyspie własnymi limuzynami, i... nie mówi ani słowa po angielsku.

*) Wpół do drugiej, odjeżdżają! (arabski).

**) Pierwszy sternik (terminologia arabska).

*** Arabski strój.

**** Starszy marynarz (terminologia arabska).

***** Rebelia arabska w Sudanie w zeszłym stuleciu.

***** Król (arabski).

W miarę posuwania się na południe Nil staje się coraz bardziej interesujący, brzozy jego coraz bardziej zielone, ludność na postojach coraz pogodniejsza, a ceny na artykuły żywnościowe coraz niższe.

Kosti typowe arabskie miasteczko, liczące około 10,000 mieszkańców, z niezodrowym sklepem Bat’a na rynku, wzięło swą nazwę od greckiego kupca, który pierwszy spośród swoich i Europejczyków, tutaj osiedlonych, dorobił się majątku i dobrego imienia.

Od Kosti, posuwając się na południe (1436 km od Juby), spotykamy coraz więcej zieleni, zwierzyny i lasów, okolice są coraz bardziej dzikie — rozpoczyna się plaga komarów.

Rozpoczyna się też prawdziwa Afryka z kąpiącymi się w Nilu hipopotamami, niezliczonymi chmarami ptactwa wodnego, gazelami, pomykającymi w głąb łąd, krokodylami, wylegającymi się w słońcu na wymiach piaszczystych, hordami słoni, liczącymi nieraz do czterysty sztuk, i nagimi czarnymi, zbiegającymi się do statku na postojach.

Od Kosti na południe rozciąga się południowa część Sudanu, zamieszkała przez ludność rdzenną i nie naphywową jak Arabowie, którzy przybyli do Sudanu około czterysta lat wstecz z Półwyspu Arabskiego. Dominują tu trzy szczepy: Shilluk, Nuer i Anuak, z których szczep Nuerów jest najliczniejszy, najdzikszy i najtrudniejszy do wychowania.

Krajowcom wolno polować na co i kiedy chcą w przeciwieństwie do białyń, którzy mają polowanie ogromnie utrudnione przepisami. Licencja na zabicie jednej sztuki słonia kosztowała przed wojną (obecnie, w czasie wojny, polowania dla białyń w ogóle są wstrzymane), 50 £. Hipopotamów w ogóle nie wolno strzelać. Wyjątkiem były przed wojną i są obecnie krokodyle, do których może strzelać każdy, z czego i kiedy chce. Mimo to na Górnym Nilu jest zatrzeszenie krokodyli i każdy statek na kursie Kosti-Juba, w godzinach dozwolonych dla robienia hałasu (8—13 i od 16 do zmroku), grzmi, jak krądownik w akcji.

Wśród mych pasażerów mam kilku wojskowych, którzy odpowiednio przygotowali się na tę „fraidę”, korzystam więc i ja z karabinu wojskowego, aby pochwalic się kretędy strzelaniem do krokodyli. Czy mam jakiegos na sumieniu, trudno przysiąc. Krokodyl po strzale daje szybko nurka i zachowuje się w tym ułamku chwili jednakowo: czy został trafiony śmiertelnie, tylko ranny, czy przestraszony. Jeśli zabity, nie wypływa więcej; jeśli zraniony — upływająca z rany krew przyciąga pewien gatunek małych ryb, żyjących tylko w Nilu, które wzerają się w ranę i zjadają w końcu gada, który nie jest w stanie opędzić się od nich.

Po dwóch dniach podróży „Amka” gwizdkiem salutuje stary parowiez „Melik”*****) leżący przy brzozy koło wioski Keri-Kera, a służący jako zapasowa cysterna z olejem skalnym dla statków Sudan Railways, wyposażonych w motory Diesela.

Ody po śmierci generała Gordona, w kilkanaście lat później, Lord Kitchener pobił „derwiszów” i odbił Khartoum, objeżdżał po Sudanie właśnie na tym statku „Melik”.

Malakal jest stacją większą — siedzibą „district commissioner’a”, wcale pokaznym i schludnym miasteczkiem i miejscem wodowania olbrzymów British Airways.

Od Malakal do Juby rozpoczyna się najładniej zaludniona część Nilu, składająca się z jednego pasma, szerokiego na setki kilometrów — moczarów, bagien i jezior.

„Amka” wznosi się coraz wyżej nad poziom morza i kiedy przyppywamy do Mongali, ostatniej, większej stacji przed Juba, noc stają się mile chłodne.

Od Mongali do Juby, Nil, jak dobry nowelista, stara się pod koniec swego opowiadania wynagrodzić czytelnikowi swe ewentualne „słabe strony”. Wije się więc w nieprawdopodobnych skrętach wśród malowniczych wzgórz, gajów, dżungli, czarując przez kilka dni najładniejszą częścią Sudanu.

Wreszcie po czterdziestu dniach podróży „Amka” sapiąc „dodrapuje” się po



Originalny system nawadniania

bystrem prądzie wody rzeki, bardzo już wąskiej, do Juby.

Po ostatnim „whisky and soda” z poznanymi już nieźle pasażerami, odchodzę do swej kabiny, aby wypelnić log i przygotować telegram, pamiętając zawsze treści: „Arrived Juba according to time table Amka”.

Nazajutrz moi pasażerowie odjechali autobusem do Nimule (80 km), na granicy Ugandy i Sudanu a ja, mój statek

Barki na kanale nilowym



Dziwny filozof, autor niezwykle ciekawej książki, którą nie tyle napisał, co podyktował, jako że sam był analfabeta. — Barnum, wygłosił słuszną sentencję, iż jedyną rzeczą na świecie nie mającą granic, jest głupota ludzka.

Na ludzkiej głupocie zbił Barnum dużą fortunę, stając się w krótkim czasie z ubożego właściciela wędrownego cyrku niemal milionerem. Był bowiem wykonalacz i założycielem pierwszego muzeum osobliwości, gabinetu okrucieństw oraz panopticonu figur woskowych. Znaną i bezkrytyczność tak zwanej „szerokiej rzeszy publiczności” Barnum pokazywał przedziwne eksponaty i ogłuszającą powodzią słów opowiadał historię każdego z nich. Posiadał zaś w swym „muzeum” Węzeł Gordyjski, Konia Trojańskiego, Miecz Damoklesa, odłamek słupa soli, w który zmieniona została żona Lota, krzesło, na którym Juliusz Cesar nigdy nie siedział, drabiny, która sniła się Jakubowi oraz dwa jabłka: jedno przebite strzałą przez Wilhelma Tella i drugie: nadgrzzone przez Ewę, z drzewa zakazanego.

Publiczność słuchała, wierząc święcie słowom sędziwego pana w lśniącym fraku, tym bardziej, że jedno jabłko naprawdę było przebite na wylot, a drugie istotnie nosiło ślady kobyliczych zębów. Z niemiejszą wiarą przyjmowano okazywane dwie czaszki Napoleona: jedną, maleńką, gdy Napoleon był dzieckiem i drugą, dużą, gdy był już dorosłym mężczyzną. Czaszki te każdy z widzów mógł osobiście wziętuowana z sprawdzić. W potoku elokwencji, podkręcając sumiaste wąsy palcami w dół i w górę, Barnum otwierał przed widzami wybitną błękitnym safianem skrzynię i pokazywał śpiącą w niej niewidzialną kobietę. Oczywiście nikt z publiczności kobiety nie widział, ponieważ była niewidzialna, wierzone jednak, że napewno musi być w tej skrzyni, gdyż inaczej nie zrobionoby dla niej tak wygodnego i cennego pomieszczenia.

Na sceptyczne uwagi, lub wyrazy wątpliwości swych słuchaczy miał Barnum zawsze przekonywującą i natychmiastową ripostę. Gdy raz ktoś z tłumu spytał, czemu jest tak maleńki, leżący w skromnym terrarium krokodyl, o którym afisz głosi, że jest największym krokodylem na świecie, gdyż od ła do ogona ma sto metrów, a od ogona do łba — sto

GABINET osobliwości

pięćdziesiąt — Barnum wyjaśnił bez zająknięcia:

— Ponieważ krokodylowi w tej chwili jest zimno, więc się skurczył. Gdy jednak rozprostuje się, każdy będzie mógł zmierzyć i jeśli będzie liczył mniej, niż

głosi afisz, kasa wypłaci każdemu olbrzymią nagrodę.

— A kiedy krokodyl rozprostuje się — spytano.

— Krokodyl rozprostowuje się raz na sto lat na przeciąg pięciu minut — od.



THÉÂTRE NATIONAL DE L'OPÉRA

LOGE

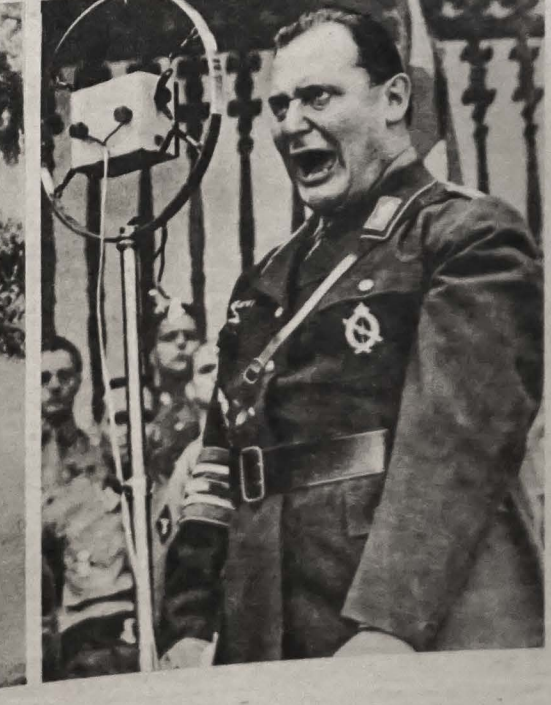
DE L'INSTITUT ALLEMAND

LOGE N° 9

Place(s) Paris, le

Spandstruck No. 8831 • Wehrmachtsverlag. ECKERT BEINERT 194

Paris, 37, Bd. de Magenta • Ruf. Bot. 16-86



parł z powagą Barnum, jak gdyby miał naukowy wykład — a ten rozprostował się właśnie wczoraj.

Pokazując zgromadzonym zwykłego chłopca normalnego wzrostu, Barnum zapowiedział go:

— Oto widzą państwo przed sobą największego karła na świecie.

— Jak to? Przecież to jest wysoki chłopak! — zawołano.

— Właśnie. Bo to jest najwyższy karzeł, Wyższego już nigdzie nie ma.

Pomimo tak oczywistych kpin, tłumy tłoczyły się pod płótno jarmarcznej budy Barnuma i oblegały kasę gabinetu osobliwości.

Jak każdy odkrywca, którego wynalazek przynosi dochody, Barnum znalazł wkrótce wielu naśladowców we wszystkich krajach.

Na peryferiach Warszawy, na Woli czy na Pradze, raz w raz otwierano jakieś „Muzeum Patologiczne”, przed którego wejściem stał zazwyczaj amorusany czwaniak, trudniący się normalnie ulicznym sprzedaż kamieni do zapalniczek. Młodzieniec ten rozdając teraz bezpłatne ulotki, wykrzykiwał na całej przepite gardło:

— Proszę zachodzić! Proszę zachodzić! Tu się widzi i ogląda! Chłopiec-piak, zamiast zębów i włosów ma dziób i pierze, niech ja skonam, jak to łała czyli nawalanka! Dziewczyna — żywa książka z obrazkami, wylatowana z góry na dół: na rękach ma kolorowe bukiety, drzewa i motylki, na lewej nodze — węża, na prawej — cały pułk arcybiskupów austriackich, a na plecach błyskawicę według ręcznego obrazu zdolnego malarza Matejki, dokładnie odstawioną. Dalej zobaczyć w tem muzeum można woskową figurę Kubę Rozpruwacza, największego zbrodniarza i bandyty swojej epoki, i niejakiego Landru-Sinobrodęgo, króla mordców kobiet i dzieci, a także samo są tu do obejrzenia dwa zrośnięte bliźniaki, zamarynowane w butelce z wodką, czyli w spiryту i żywa kobieta z brodą za jedne dwadzieścia groszy. Tylko tutaj! Największa światowa okazja, naukowo, pooglądowo, fizycznie i historycznie, a także samo kupa śmiechu do cholery i trochę. Proszę zachodzić, proszę zachodzić! Niemowięta w mundurach i nieletnie żołnierze na rękę przy piersi pięć połówkę.

Osobliwości jednak, jeśli nie są jedynie niezdrową sensacją, lub domowymi wyrobami szarlatanów, zawsze zasługują na obejrzenie.

W myśl tej zasady „Parada” ma zaszczyt przedstawić kilka dziwów dwudziestego wieku.

Reprodukowany tu dom, który posiada właściwie tylko jedną ścianę, to bynajmniej nie papierowa makietka, dekoracja teatralna, czy filmowa, lecz autentyczny budynek na przedmieściu Aleksandrii. Właściciel stawiając sobie tę wilię nie wiedział, że plac poza frontową ścianą, należy do kogoś innego. Oznajmiono mu to dopiero wówczas, gdy zamierzał wybudować garaż, do którego drzwi, jak widać na zdjęciu, już wstawił uprzednio. Nie zmartwiony zbytnio tą smutną nowiną, przedsiębiorczy kandydat na kamienicznika przeprowadził schody na piętro, gdzie wybudował sobie pokój z weneckim oknem, romantycznymi okiennicami oraz zainstalował telefon i radiową antenę. Domek ten choć własny, jest raczej płaski niż ciasny, a jeśli posiadacz jego jest żonaty, małżonka z trudem może mówić, że mieszka ze swym mężem w czterech ścianach.

Mylili się ten, kto by sądził, że ten stary, średniowieczny wiatrak, obracający skrzydłami na tle pochmurnego nieba jest jednym z wielu zwykłych, charakterystycznych krajobrazów Holandii, lub jednym z tych, na które rzucił się do boju Don Kichot na swym szybkonogim Rossynance.

Wiatrak ten znajduje się w Afryce, gdzie stoi na piaskach Sidi Bish w Egipcie. Kto nie wierzy, że Narodowa Opera paryska była instytucją czysto niemiecką, niech obejrzy ten bilet. Podpisany na nim wydawca Robert Reinert, zamieszkały w Paryżu jeśli gdzieś teraz siedzi, to raczej w kryminale, niż w teatrze.

To dzieło trafione zostało wyjątkowo celnie. Nieprzejacielski pocisk wpadł do otworu armatniego rozczepiając luźną dwoje.

Na zakończenie zdjęcia: Goeringa, przemawiającego przez radio i Hitlera przed poczem SS. Fotografie te są autentyczne niemieckie, publikowane w hitlerowskich piśmie. Spójrzcie na te twarze! Ci dwaj „naddudzie” z łatwością usuwają w cień słynnego Kubę Rozpruwacza i Landru — króla degeneratów.

Na tym widowisko kończymy.

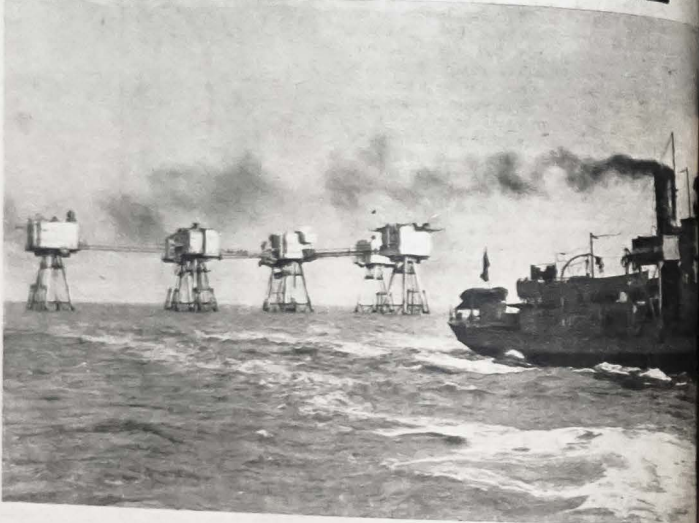
Ted. Wm.



Jedna z morskich fortec — u dołu komin przepływającego okrętu

5 morskich fortec „sprzężonych” stalowymi mostami

PLYWAJĄCE WIEŻE



Sztuczne wyspy-forteczki, które chronią wschodnie wybrzeża Anglii. Forteczki te są wyposażone w ciężkie dalekonośne działa morskie i w różnego typu działa plot

klub nurków amatorów



Sztuczne płetwy umożliwiają pływakowi osiągnięcie wielkiej szybkości w wodzie

Mimo, że nurkowanie jest pełne niebezpieczeństw — nie brak i wśród pań zwolenniczek tego sportu

Jest to jeden z najbardziej ekskluzywnych klubów amerykańskiej marynarki. Aby móc być członkiem klubu trzeba się wykazać umiejętnością nurkowania bez przyrządów nie krócej, niż dwie minuty. Członkowie klubu polują namiętnie na kraby morskie i wielkie ryby, stacząc niejednokrotnie nietatwe walki z rekinami. Do nurkowania używają masek chroniących oczy i specjalnych płetw gumowych, przymocowanych do nóg. Uzbrojeni są w harpun. Szereg wybitniejszych asów klubu potrafi nurkować do 3 minut. Jest to swoisty rekord, który wymaga zarówno treningu jak i wrodzonego talentu. Ostatnio do klubu nurków amatorów przyjęło kilka pań z marynarki amerykańskiej. Reprodukowane zdjęcia są fotoreportażem z klubowego weekendu na morzach południowych.

Str. 2: fot. U. S. Office of War Information
 Str. 5: fot. Ofelac-Alger
 Str. 6 i 7: fot. Stelman, British Ministry of Information
 Str. 11: fot. W. S. Majewski
 Str. 12: fot. „Parade”
 Str. 14: fot. British Ministry of Information
 Str. 14 i 15: fot. Ben White
 Str. 16: fot. K. Hrynkiwicz

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI

Wyd.: Oddział Prop. i Kultury D-2w A. P. W. Adr. Red.: Polish Forces M. E. 20
 Publishers: P.R., H.Q. Polish Army in the East. "Parade" Polish Forces M. E. 20



↑ Ze zdobyczą na powierzchni



↑ Polowanie z harpunem



↓ Kotlet z kraba...



↓ „Krewetka” ciężkiego kalibru

Pożeracz krabów — przy finiszu...

